(PAT) POLSKA AGENCJA TELEGRAFICZNA
(OFICJALNA POLSKA AGENCJA PRASOWA)
50 ROCKEFELLER PLAZA, NEW YORK 20, N. Y.
BIULETYN POLSKI

Nr. 43/396 28 czerwca, 1944

JEDZIEMY "ZA RZYKĘ"

Poniżej zamieszczamy feljeton polskiego korespondenta wojennego we Włoszech, Melchiora Wańkowicza. Swietny reporter i literat opisuje w nim przejazd wojsk polskich na front na znanym nam wszystkim transatlantyku "Batory".

Miejsce postoju, PAT, w czerwcu.

Tak się złożyło: wyjeżdżałem na Bliski Wschód "Warszawą", przemiotło mnie, przemęłło trzy lata między żarnami Cypru, Palestyny, Iranu, Iraku, Syrji, Libanu, Egiptu - i oto wracam znowu "Batorym". Zupełnie jakbym zakupił w Linji Gdynia-Ameryka w Warszawie bilet na trzyletnią turę po świecie polskimi okrętami.

Tylko, że się wiele zmieniło w warunkach podróży. "Warszawa" jechała cichcem i zygzakiem, samotna. Na dziobie sterczał karabinek maszynowy - i tyle. Na Krecie siedzieli Niemcy. Pomykaliśmy ku Cyprowi, przepraszając żeśmy się wogóle urodzili.

Wtedy - witaliśmy flagę polską - biedna garstka cywilów stłoczona na dnie szalupy.

Teraz - podjeżdżaliśmy szeroką motorową barką w blasku "Poland'ów", w obfitości Pestek, imczarek, iwczarek, czerwonokrzyżarek, odkarmieni, przesypani piaseczkami najróżniejszych pustyń jak zioła w herbarzu; wyskorpionieni, wytarantulowani, wymalariowani, ale z pozakładanymi protezami w poszkorbutowym uzębieniu, i - koniec końcem - morowi.

"Batory" - poczciwy, wygodny hotel pływający - nadążył za nami. Wygląda, jak mój znajomy mecenas, dźwigający chlebaki nie chlebaki, iperyty nie iperyty i mający spodnie spętane w kostce jak koń na łące. Także i "Batory": gdzie był piękny bar z rysunkami Borowskiego - rrym! - nie heblowane deski i tapczany. Z tego miejsca, gdzie - pamiętam - stała wiośniana ona i rzygała do morza, a oń stał zakochany, smutny i bezradny - ani śladu! Jakieś Maorysy leżą tam w pięć pięter i świecą podkutemi butami. A na pokładach, gdzie grywaliśmy w tenis morski, krokiet pokładowy - aż czarno od wież obrotowych, od Oerlikonów, różnych "ak-aków", rakietnic, dział, bomb głębinowych - drżyj, Hitlerze!

Wyjeżdżałem tym oto "Batorym" w jego pierwszą podróż dziewiczą, ze stoczni Monfalcone pod Triestem. Sześciuset dwudziestu burżujów z dobrze nabitymi portfelami nażarło się i ponapijało zaraz w Dubrowniku, - tam, gdzie teraz Tito skacze za niemieckiemi garnizonami. Napisałem o tym pijaństwie zjadliwy feljeton, który na wysokości Neapolu wygłoszono przez głośniki okrętowe jako audycję radjową rzekomo z kraju, i burżuje szalały, że są skompromitowani na amen.

We wszystkich tych kątach świata, w któreśmy wówczas zaglądali, są teraz inne sprawy i inne "feljetony" podają nam głośniki statku:

"Polish liaison officer... to orderly room... at once..."

I biedaczek polski oficer łącznikowy drepce tam i z powrotem, tam i z powrotem. Do Orderly Room, w którym rezyduje komendant wojsk transportowych, wchodzi się przez hall "batorowy". Na całą ścianę widnieje portret wielkiego króla, a polskie niepoprawne kpiarze, nic nie dbałe o propagandę, tłumaczą Anglikom, że to jest właściciel statku. Anglicy z zainteresowaniem oglądają szatę współczesnego finansisty i armatora polskiego i wraz z nami pchają się do biura, w którym na całą ścianę wymalowano kopję Matejki "Batory pod Pskowem".

"Co to za pudding ofiarowują ci brodacze waszemu królowi?"

W pośpiechu tłumaczymy co znaczy chleb i sól, przyczołgane przez grubych bojarów, ale już czasu niema, bo każdy dostaje numer kabiny i leci do niej jak zwarjowany, aby cisnąwszy rzeczy wyleźć na pokład i spojrzeć raz ostatni na porzucaną część świata.

Niéma tam co żałować - poza drobiazgami. Ow, że nie zdążył kupić dziesiątego kila mydła, a panna Mania, że nikt jej nie poinformował, że w Zoologicznym Ogrodzie w Kairze można było oglądać małe sfinksięta, które właśnie porodziła sfinksica; jakiś dowcipny plutonowy wytłumaczył jej, że jest to jedyny rezerwat sfinksów na świecie - taka ichnia Białowieża...

Żegnamy cię, Afryko!

Przeciągają coraz nowe okręty, grupującego się konwoju, nadciąga nasz"Sobieski" witany wrzaskami radości.

"Gdzie się ruszyć - tam was widać," mówi angielski kapitan. "Pamiętam, w Takoradi, na Gold Coast, zawijamy - dziura najbardziej zakazana na świecie- a tu murzyński oddział obrony przeciwlotniczej maszeruje z dwiema czterdziestkami polskiej produkcji i pod komendą polskiego oficera."

<u>Bo to jest wojna!</u>

Ubrali nas w pasy ratownicze. Każdy te pieluszki ma ciągać ze sobą: na posiłki, na mszę, na brydża, przy ratowaniu rzygających, przy dreptaniu miłosnem na zblakautowanym pokładzie, na który dobrotliwy Neptun zsyła ciemności smoliste - słowem, zawsze.

Przez te pieluszki schudłem, bo stale zapominałem, stale po nie wracałem, szukałem, byłem gromiony i wymyślany, aż się schytrzyłem ściągać sąsiadom, którzy wyli z rozpaczy, nie mogąc bez pieluszek iść na obiad. Podróż chlubnie zakończyłem z trzema pieluszkami uciułanymi w kabinie.

W kapitańskiej kabinie odchodzą pogaduszki o tem, co było z "Batorym" przez ostatnie trzy lata. Kiedy wracałem nim tuż przed wojną z Ameryki, w kabinie tej brząkał na gitarze "Kapitan Siedmiu Oceanów" Borkowski, i częstował pasażerów "soczkiem pomarańczowym" od którego oko bielało.

Obecny kapitan, który za Boga nie chce widzieć swego nazwiska drukowanego, był kapitanem "Chrobrego", w tę pamiętną noc z 14-15 maja 1940 roku, akurat na Zofję, kiedy na kwadrans przed północą z poza czarnej skały Westfjordu wyszły niemieckie bombowce i zatopiły ten piękny statek. Pływał po morzu półtora roku. Kiedy go trafiono i był w ogniu, do burty przycumował angielski torpedowiec i brał załogę.

"Dziękuję panu," powiedział do komendanta torpedowca nasz kapitan. "Dziękuję tembardziej, że na palącym się "Chrobrym" miałem 50 ton materjałów wybuchowych."

"Ma pan szczęście, że dopiero teraz o tem się dowiaduję," mruknął zbawca.

W tenże dzień kapitan-rozbitek rewizytował gen. Szyszko-Bohusza, jedząc z nim obiad - bez kołnierzyka.

Pierwszy oficer "Batorego" był na "Piłsudskim", kiedy ten bratni statek tonął, trafiony niemiecką torpedą. Kapitan "Piłsudskiego", Stankiewicz, nie chciał zejść do łodzi. Zginął.

Drugi oficer też przyszedł z zatopionego statku. Kiedy stoimy na pokładzie, patrząc jak do ciągnionej po niebie przez ćwiczebny samolot kiełbasy, strzelają wszystkie środki ogniowe "Batorego", a czerwone żużelki biegną ku obłokom - przypomina jak to było na początku wojny, kiedy pływał na "Zbarażu".

"Było już wtedy lepiej. Z początku mieliśmy na statku jeden rewolwer i jeden flower. Na innych statkach było tak samo. Rżnęli nas wówczas jak barany. Ale potem dostaliśmy karabin maszynowy. Kończyłem wachtę, było dżdżysto i morze wysokie. Nagle z za fal wynurzyły się

idące tuż nad wodą dwa samoloty. Targnąłem za pokrowiec, i zdzierając go zrzuciłem karabin maszynowy. Zdążyłem narządzić go w ostatniej chwili. Puścił serję. Dwa samoloty zdarły w górę, zdenerwowały się, wypuściły bomby przed samą burtą. Nagle ich skrzydła obrzeżyły się niby ramką neonową - to wszystkie ich karabiny maszynowe, umieszczone w skrzydłach, siekły pokład. Podziobały nam cały "Zbaraż", ale rannego mieliśmy tylko jednego."

Opowiadający ma za to na granatowym mundurze Krzyż Walecznych.

Gdzież ta moja pieluszka? Znowu ją gdzieś zadziałem...

Pomyślnych wiatrów!

"Batory" kołysze się spokojnie, z boczku na boczek...

"Widzi pani tę reję sąsiedniego statku, idącego w konwoju?".

Pani patrzy na reję przez iluminator. W iluminatorze to się ukazuje niebo wysokie, to reja, i jeszcze niżej - kadłub sąsiedniego statku. Pani się wzrusza i biegnie szybko na dół...

"Batory" kołysze się spokojnie. Przekołysał się tak, dzięki Bogu, całą wojnę. Szły na dno statki polskiej Marynarki Handlowej: moja "Warszawa" dawno już jest jedną z oficynek Neptunowego pałacu przy libijskich brzegach. Szły na dno okręty polskiej Marynarki Wojennej. "Batory" zawsze uchodził - jeśli nie suchą nogą, to mokrym kilem. A przecież brał udział w kampanji norweskiej, w lądowaniu afrykańskim (rozkładówka London News z tego okresu jest jemu poświęcona), w desancie sycylijskim, wiózł 50 dzieci angielskich do Australji, woził polskich uchodźców z Persji do Indji, obsługiwał brzegi zachodnie i południowo-afrykańskie.

Kiedy signor Montelli, naczelny dyrektor stoczni w Monfalcone stojąc w kolorowym pulowerku na molo żegnał odcumowującego "Batorego" powiewając chustką - nie przypuszczał w jakich okolicznościach, i po ilu burzach dziejowych ten piękny motorowiec przycumuje znowu do portów jego ojczyzny.

"Fiedia".

Nie przypuszczała zapewne i załoga. Ot, choćby ten popularnie zwany "Fiedia", z którym pływaliśmy przed wojną, który wyawansował się na storekeeper'a, na magazyniera statku.

"Fiedia", urodzony przed 56 laty w Krzemieńcu, od małego pływający na statkach czarnomorskich a potem bałtyckich, znalazł się w czasie tamtej wojny w niewoli tureckiej, z której przeszedł na służbę do francuskiego handlowca, uwijającego się po grecko-arabskim Środkowym Wschodzie. Kiedy Francuzy poczęły mu doskwierać o przyjęcie obywatelstwa (a było to sprzężone z koniecznością odsłużenia w Marynarce Wojskowej) - "Fiedia" po dziesięciu latach, trzech miesiącach i sześciu dniach służby podziękował i poszedł na "Holendra". Przyszedł straszliwy kryzys armatorski w 1932 r., kiedy w portach Amsterdamu i Rotterdamu kilometrami zalegały bezrobotne kargai szkunery. "Fiedia" stracił zajęcie, przypomniał o swoim polskim paszporcie i przyjechał do Gdyni.

Słucham nietyle treści tego opowiadania, ile nieprawdopodobnego języka, jakiegoś volapuku, który zbudował na swój specjalny użytek ten obieżyświat bez ojczyzny.

"Ja drałem się (biłem się - rosyjski) w baltijskim flocie. Nu, dobremu marynarzu nużno wsiegdasznie (trzeba zawsze - rosyjski) być na dekie. Tak ja jawił się na francuzskij parachod (statek - rosyjski), sajlował poka nie paczli tiahnąć na serwis militer. Podumałem: maleez (nic nie szkodzi - po arabsku) i enlistował się na dacza. Ale jak oni zdziałaliś unemplojne, to im powiedział kalimera (do widzenia - po grecku) i poszedł na polsku szypu."

W Gdyni okazało się, że jednak "Fiedia" ma swoją ojczyznę - ojczyznę morską. Znaleźli się na wszystkich okrętach starzy kamraci, którzy go wybronili pazurom Pana Komisarza Sokoła, z którym "Fiedia" staczał "po francuskie" (wyobrażam sobie!) homeryckie boje, aby znowu

tu nie służyć "po wojennemu płotu". Wybronili go - i oto dziesięć lat "sajluje" na "Batorym", z czego piąty już rok przyszło biednemu "Fiedi" służyć gorzej niż "po wojennemu płotu" - w ciągłych blak-autach, trzasku "ak-aków" i pienistych wybuchach bomb głębinowych.

Aby źdźiebko bliżej...

Najodleglejszym biegunem "Fiedi" na "Batorym" był - powiat Szczuczyński. Żywcem przeniesiony. Siedemdziesięcioletnia babcia, kucharząca u Pestek.

"Mówili co jo za staro za rzykę do tej Italji jechać, ale sam pan generał powiedział - niech ta jedzie - dziewiąci synów do wojska dała..."

Po "Bąbci" egzotyka włóczęgi spłynęła bez śladu. Gwarzymy sobie jak ongiś w Szczuczyńskiem, i posuwamy się do Polski.

Aby źdźiebko bliżej...

Melchior Wańkowicz